

Anita Lipnicka: Chcę zostawić ślad w duszach

Justyna Muszyńska-Szkodzik: - Podczas festiwalu Łódź Czterech Kultur wystąpi pani na koncercie „Cohen i kobiety”. Jak postrzega pani rolę kobiecego głosu w oryginalnych aranżacjach Leonarda Cohena?

Anita Lipnicka: – Cohen kochał kobiety. Poświęcił im wiele miejsca w swojej twórczości. Podziwiał je, wielbił, był piewcą ich fizycznej urody oraz złożonej i tajemniczej natury. Nikt tak jak on nie pisał o miłości, która często w jego tekstach przybierała formę misterium, balansując na granicy pomiędzy tym, co święte i grzeszne. Pisał o kobietach i do kobiet z męskiego punktu widzenia, dlatego niezwykle ciekawym eksperymentem wydaje się oddać głos właśnie paniom, by zinterpretowały po swojemu jego teksty.

Jakie piosenki barda z Montrealu pani zaśpiewa?

– Nad aranżacją koncertu czuwa Leszek Biolik, to on wychodził z propozycjami utworów dla poszczególnych wykonawczyń. Mnie przypadła w udziale interpretacja jednej ze sztandarowych piosenek Cohena. Zaśpiewam „Słynny niebieski prochowiec”, czyli poruszającą historię miłosnego trójkąta, tekst napisany w formie listu do utraconego przyjaciela, z którym jego autora poróżniła miłość do tej samej kobiety. Jest to dla mnie o tyle szczególna piosenka, że dzięki niej poznałam niegdyś twórczość Cohena. Usłyszałam ją jako pierwszą, gdy byłam bardzo młoda. Wzruszyła mnie do łez, choć wtedy nie znałam nawet języka angielskiego! Cohenowski koncert jest częścią festiwalu odwołującego się do zgodnej koegzystencji wielu nacji, kultur, religii.

Jak należy komunikować inność? Muzyka może w tym pomagać?

– Idea tego koncertu jak najbardziej wpisuje się w temat szeroko pojętej tolerancji. Sam Cohen często w swej twórczości sięgał po wątki religijne, odwołując się naprzemiennie do judaizmu i chrześcijaństwa. Dla niego jednak sacrum w poetycki sposób mieszało się z profanum, tym co ludzkie i dalekie od świętości. Przymierzając się do interpretacji tekstu piosenki „Słynny niebieski prochowiec”, postanowiłam niczego nie zmieniać w tekście. Śpiewam więc w pierwszej osobie, jako kobieta, do mężczyzny, który skradł kiedyś serce... mojej kobiety. W tym sensie można powiedzieć, że wcieliłam się w postać homoseksualną. Zrobiłam to świadomie, uważając, iż taki zabieg pozwala na szerszą interpretację. Miłość bowiem jest jedna, bez względu na płeć bohaterów.

Najnowsza pani płyta „Na osi czasu” to zapis zarejestrowanego w Łodzi koncertu z największymi przebojami. Jak udało się zamknąć ponad 20 lat działalności artystycznej w krótkiej top liście?

– To nie było łatwe zadanie. 23 lata na scenie w różnych konfiguracjach i gatunkach muzycznych, to mnóstwo doświadczeń i materiału, który trudno zmieścić w półtorej godziny. Przygotowując koncert, kierowałam się zasadą prawdy – wzięłam na warsztat piosenki, które nadal czuję i potrafię w nich przenieść żywe emocje. Nie wszystkie wytrzymały próbę czasu. Ale udało się zebrać kilkanaście takich, które w nowych interpretacjach i z dzisiejszej perspektywy zabrzmiały na scenie wiarygodnie. Cała trasa „Na osi czasu” była dla mnie niezwykle wzruszającym przeżyciem, które można przyrównać do odwiedzin ważnych miejsc z przeszłości lub do oglądania albumu pełnego starych fotografii i wspomnień.

Skoro o tym mowa, w czerwcu zagrała pani w rodzinnym Piotrkowie Trybunalskim w

ramach trasy promującej ostatnią płytę. Czuje się tam pani jak u siebie w domu?

- W Piotrkowie wciąż mieszka moja mama, z tego względu nadal wiele mnie łączy z tym miastem. Muszę jednak przyznać, że najtrudniej gra się w domu, przed publicznością pełną znajomych, ludzi, którzy kojarzą cię z przeszłości, zanim stałaś się tak zwaną „gwiazdą”. Jest w tym coś obnażającego, nie da się niczego udawać.

Jak wspomina pani dzieciństwo w Piotrkowie?

- Z przerażeniem zauważam, że ważne dla mnie miejsca po prostu znikają z mapy miasta! Stara knajpa Ormianin na starówce, do której uciekałam na wagary, już nie istnieje. Kino Hawana, gdzie jako dziecko chodziłam na poranki i na pierwsze poważne filmy, gdy byłam nastolatką, zostało zburzone kilka lat temu. Jednak dawny Wojewódzki Dom Kultury, w którym grałam próby z moim pierwszym zespołem, wciąż prężnie działa, tam dałam ostatni koncert. Budynek został pięknie odremontowany, za moich czasów tynk się z niego sypał, ściany się rozpadały. Dzisiaj jest to już inne miasto, nie takie „moje”. Należy do nowego pokolenia. Ale sentyment pozostał.

Podobno to starszy brat Arek, który też jest muzykiem, namówił panią do śpiewania...

- Po części to jego zasługa. On mnie zaciągnął na scenę. Sam należał do lokalnej grupy teatralnej, gdy byliśmy w liceum, i jakoś tak wyszło, że mnie wkręcił w artystyczne klimaty. Razem byliśmy chwilę w krakowskim kabarecie Grupa Rafała Kmity, a kilka lat temu wystąpiłam na płycie jego formacji Voice Band, śpiewając piosenki z lat 30.

Singel „Ptasiek”, wydany w lipcu 2016 roku, zapowiada pani najnowszą płytę. Jaka ona będzie?

- Już niebawem pojawi się kolejny singel „Z miasta”, też zapowiadający płytę. Album ukaże się jesienią, w całości nagrany w Polsce z moim stałym zespołem The Hats, z którym występuję od ponad dwóch lat. Płyta będzie przesiąknięta rootsowymi, folkowymi klimatami z wpływami bluesa i hippisowskimi, akustycznymi brzmieniami. Moje ostatnie dwa solowe wydawnictwa były dość introwertyczne, liryczne. Teraz przyszła pora na kolor zielony – dużo krajobrazów, odniesień do natury, przyrody. Może za sprawą tego, iż w całości powstawała nad jeziorem, w głąsży, z dala od miejskiego zgiełku.

O „Ptaśku” powiedziała pani, że to opowieść „o czystości uczuć i naiwności prawdy, która zawsze znajdzie drogę, by wędrować dalej, niczym choroba zakaźna przenoszona z serca do serca”. Wierzy pani w „zarażanie się” dobrem, prawdą, pięknem?

- Oczywiście. Uważam, że przychodzimy na świat po to, aby dzielić wspólne chwile, inspirować się wzajemnie, brać i dawać coś od siebie w zamian. Każde spotkanie jest po coś, nie ma przypadków.

Znana jest pani słabość do Londynu. Większość poprzednich płyt nagrała pani w Wielkiej Brytanii...

- Nie ma co ukrywać, że kolebka muzyki popularnej to Stany Zjednoczone i Anglia. Tam wydarzyło się i dzieje nadal wszystko, czym inspiruje się reszta świata. Muszę przyznać, iż mimo moich bliskich związków z Londynem i tak muzycznie bardziej kocham to, co płynie z USA. Jestem wielką fanką nurtu americana, który czerpie z muzyki źródeł. Bliżej mi też do amerykańskiej szkoły nagrywania muzyki folkowej – na brudno, sto procent live, bez postprodukcyjnych zabiegów upiększających. Anglia jest pod tym względem bardziej zachowawcza, estetyczna.

Z kolei cała Polska śpiewała przeboje „Piosenka księżycowa”, „Zabij mnie” czy „Pocałuj noc” Varius Manx. Byliście sławni. Jaki ma pani dziś stosunek do popularności?

- Mam wrażenie, że zmieniła się natura popularności. Ja zaczynałam w czasach, kiedy na dobrą sławę trzeba było sobie zapracować, była ona raczej wynikiem, skutkiem ubocznym artystycznych działań. Chęć wyrażenia siebie była motywacją przewodnią śpiewania, nagrywania muzyki. Dziś jest inaczej. Sława stała się celem samym w sobie, ludzie są znani z tego, że są, nie dlatego, że coś sobą reprezentują. Liczy się obecność w mediach, liczba „lajków” na portalach społecznościowych, czysta statystyka. Żadna treść intelektualna czy emocjonalna. Model zupełnie mi obcy. Czasem czuję się jak odmieniec.

Płyty Varius Manx z pani udziałem - „Emu” i „Elf” - sprzedały się w ponad milionie egzemplarzy. Teraz showbiznes bardzo się zmienił - ktoś ma swoje pięć minut i zaraz znika w tłumie podobnych sobie „gwiazdek”. Warto jeszcze walczyć o publiczność?

- Zawsze warto walczyć. O cokolwiek! Ja kieruję się jedną jedyną zasadą: oddaj tyle, ile dostajesz. I to się właściwie przenosi na moje muzykowanie. Tyle rzeczy mnie wzrusza, dotyka, inspiruje. Pragnę brać czynny udział w tym cyklu wymiany międzyludzkiej energii, przekazywać dalej swoją iskrę. Po to występuję na scenie przed ludźmi, po to nagrywam płyty. Chcę zostawić ślad po sobie w duszach innych. W tym sensie warto walczyć o publiczność.

„Wszystko się może zdarzyć” - te słowa sprzed lat są nadal aktualne? Na jakie zrządzenie losu czeka Anita Lipnicka? Na co liczy?

- Nie mogę powiedzieć, na co liczę. Przyznaję jednak, że czekam. Na to, aż los mnie zaskoczy, przyniesie coś, czego nie byłam sobie w stanie nawet wyobrazić. W moim życiu tego rodzaju cuda zdarzały się wielokrotnie. Być może w moim wieku już nie wszystko może się zdarzyć. Ale wciąż może zdarzyć się bardzo wiele. Na to liczę!